

Wojciech Gołabowski

Marnotrawny

Rozproszone światło sufitu z trudem przebija się przez złotobrzazowe pukle włosów sphywające po mej twarzy... Milutki, lekko zadarty nosek z samotnym piegiem po prawej stronie... Nira, moje kochanie, nigdy cię nie opuszczę... O, tak... Trochę wyżej... Ooo... Dobrze... Spod przymkniętych powiek ledwo widać nieskazitelną biel białek i iskrzący brąz tęczówek. Patrzy gdzieś nad moją głową... Już nie patrzy, zmrużyła oczy. Meaaaauuu... Słodycz karminu i symetryczny ucisk poniżej... Nira, moje kochanie...

Bezgłośny jęk obolałego umysłu. Czas odpocząć. Z nieklamana ulgą zdejmuję z barku wbijające się w mięśnie gałęzie. Ale przecież nie możemy stanąć tu, na ścieżce do wodopoju! Rozgarnąć krzaki po lewej, gdzie rzadziej wyrosły, podeprzeć... Tak. Teraz jeszcze przeciągnąć brzemień te kilkanaście stóp... Powinno wystarczyć. Zamaskować dojście do ścieżki, zaznaczyć, w którym kierunku jej szukać... Tutejsza flora daje ciężkie nauczki naiwnym... Nie sposób zapomnieć. Dziwna, nieznaną, dzika puszcza hitaliańska ma się nijak do doskonale poznanych lasów Falcorum. A przecież nie powinny się aż tak różnić... Czyżbym dorastał w parku?

Zostało coś jeszcze z przedwczorajszego mięsa? Mało. Śmierdzi? Słabo, ale już. Warto by zastawić sidła na ścieżce, może coś...

Palmo chyba nigdy nie wyrosnie ze swej dziewczęcej urody. Równo obcięte jasnoblond włoski dyndają mu wokół głowy. Jak zwykle roześmiany.

- Golo, idziemy na króliki? Te pułapki, co dwa dni temu...

- Nie mogę dziś. Dziadzio ma mi objaśnić, czym zajmuje się ProMan w kopalni 15c.

- 15c? To granice Falcorum, prawie trzy tysiące kilometrów stąd...

- Ponad trzy tysiące. Trzy sto z hakiem, jak mawia papa. Dlatego wylecimy już teraz.

- Zdążycie tam na obiad?

- Jasne! Miałbym przegapić nadziewane bażanty? To się zdarza raz na miesiąc!

- Szkoda, bo wiesz, naprawiłem te sznurki, co nam się...

- O, dziadzio już woła. Muszę lecieć. Wpadnij za trzy dni, co?

Nie, niebieskooki Palmo nie wyrósł, nie wydoroślał. Dziadek by go chyba zatłukł, gdyby się dowiedział, co myśmy czasem w lesie we dwóch robili... Młodzieńcze odkrycia, grzechy dojrzewania... Jak to było z tą pułapką? Ten po prawej związać z tym z góry, ale słabo, za to ten od dołu

mocno? Na odwrót? Palmo, czemu cię tu nie ma, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebny? Szlag by to... Musi wystarczyć. Z powrotem za krzaki. Godzinka snu, nie dłużej.

Dlaczego właściwej perspektywy do oglądania własnych poczynań nabiera się dopiero stojąc po drugiej stronie zatrzaśniętej śluzy? Dlaczego dopiero tu, na odległej Hitalii zacząłem dostrzegać całe swe dotychczasowe życie jako zbyt słodkie, aby było prawdziwe? Czy sprawiła to obecność - i dostępność do mojej osoby - marginesu znanego jedynie z holowizji? A może to te osaczające i wpijające się w umysł obce myśli, odczucia, zamiary wobec swych dawnych wrogów i siebie nawzajem? Może wreszcie to, że po raz pierwszy w życiu zostałem naprawdę sam - bez wsparcia rodziny, przyjaciół, służby?

Czyżbym sam stawał się - jak i oni - wyrzutkiem?

Początki pobytu na tej na pozór gościnnej planecie nie obfitowały w przyjemne chwile. Pierwsze kontakty z obcymi fizycznie, mentalnie i moralnie ludźmi cudem tylko nie skończyły się dla mnie tragicznie.

Musiałem się przezwyciężyć.

A nie było to łatwe. To nigdy nie jest łatwe.

Pierwsze noce pod obcym, gołym niebem, gdy pozbawiono mnie nie tylko anty-g, ale nawet przyzwoitego koca. Ranki, kiedy budząc się, znajdowałem swego poznanego wieczorem sąsiada martwego. Nienawiść w tak wielu oczach, ciepło tak znikome, często połączone z wyrachowaniem. Zaprawdę,

czegoś brakowało w moim wychowaniu. Miałem odtąd nadrabiać owe braki w rekordowym tempie, nie mając szansy na powtórzenie raz oblanego egzaminu.

Zacząłem sobie wmawiać, że lubię przynajmniej niektórych spośród pozostałych rozbitków. Uważałem, że jeśli w to uwierzę, to moje myśli nie zdemaskują faktycznego obrzydzenia, którego czułem za każdym razem, odbierając czyjeś myśli o zabijaniu, żarciu i bezrozumnej kopulacji. Które zresztą narastało, gdy zdałem sobie sprawę, że odbieram ich wspomnienia, a nie marzenia.

Musiałem się stamtąd wyrwać, przerwać to nieustanne pasmo myślowych lub słownych licytacji własnych osiągnięć. Moją głowę rozsadzały wizje krwawych jatek popelnianych w imię kosmos wie, czego. Jedynym, co mnie dziwiło był fakt, że biorący w nich udział psychiczni mutanci nie skakali sobie do gardeł gdy okazywało się, iż stali wtedy po przeciwnych stronach barykady... Widocznie fizyczna odległość od reszty cywilizacji i na nich wycisnęła swój ślad. Może jak i ja zaczęli sobie wmawiać: "to nie ja", "mnie tu nie ma", "to nie ja, nie ja"...

A może i oni obudzili się ludźmi?

Oczywiście spałem za długo. Zaczynało się ochładzać, cienie zauważalnie zgęstniały. Niedługo będzie szarzyć, a potem nastanie mrok. Tu, w dzikim, gęstym lesie nie ma co liczyć na światło żadnego z dwu księżyców czy choćby gwiazd. Jedynym, co może rozświetlić czerń będą błyszczące oczy nocnych drapieżników. Ogień... Nierealne marzenie.

Moja pułapka. Jest coś? Mały arbuz... Niewiele, ale dobre i to. Przynajmniej nie pomyliłem się ze sznurkami. Przykro mi, ale muszę cię zatłuc. Jestem głodny, a to jedyna w tej chwili racja. Nie mogę ci nawet zapewnić bezbolesnej śmierci, ale postaram się, aby była szybka. Tylko nie wierć się i nie patrz swymi niewinnymi oczami... Postaram się trafić w głowę za pierwszym zamachem.

Podjęto decyzje o przeprowadzeniu rekonesansu po nieznanym terenie. Poszło kilku zapaleńców a ja niemrawo podążyłem za nimi, nie mogąc nadażyć za pewnym, żołnierskim krokiem. Pewnie to i dobrze, bo wkrótce za sprawą wybuchających soków drzew, z przodu zrobiło się gorąco i nieprzyjemnie... Zaraz ruszyła też druga grupa, stawiając mnie między młotem a kowadłem.

Młot i kowadło w jednej osobie rzuciło się na mnie, niemal zabijając, ot tak, dla własnego bezpieczeństwa. Nazywało się Rodriguez. Po krótkiej, acz niebezpiecznej (głównie dla mnie, nie byłem przyzwyczajony do zadawania się z terrorystami) rozmowie pociągnęło mnie za sobą w blade opary. A może poszedłem z własnej woli? Któż to teraz pamięta...

Rodriguez nie okazał się bezpiecznym kompanem. Dużo myślał. Jak dla mnie za dużo i o niewłaściwych rzeczach. Nie mogłem, po prostu nie mogłem utrzymać na wodzy moich odczuć względem niego. Czy odebrał mój wstręt? Nigdy się nie dowiem - wymknąłem się sam, czy po prostu postanowił nie zwracać więcej na mnie uwagi?

Szara, śmierzcząca mgła przetykana coraz częściej wylaniającymi się znienacka ostrymi kolcami drzew, chcącymi tylko rozedrzeć ubranie i wbić się jak najgłębiej. Napić się świeżej krwi.

Kojący szum strumienia i chłodna świeżość krystalicznej wody przywróciły mi realniejsze spojrzenie na rzeczywistość. Ruszyłem wzdłuż koryta, coraz silniej i wyraźniej odbierając inne myśli - spokojniejsze, bardziej przyjazne. Mgła się przerzedziła, w końcu roziała zupełnie. Strome zbocza wąwozu stopniowo opadały niżej, ostatecznie rozszerzając się i czyniąc miłą polaną z wygodnym dostępem do wody.

Na polanie poznałem Jagera. Człowieka, który chciał spokojnie żyć. I tyle. Pierwszy Hitalianin, który nieznanomego częstował jedzeniem, a nie przekleństwem. Którego mógłbym nawet polubić.

Ale wkrótce polana zarośla się tymi, od których ledwo co zdołałem odejść.

Znowu to samo.

Uciekać, uciekać!

A na razie udawać chorego. Może wtedy dadzą spokój?

Jęki rannych. Przekleństwa zdrowych. Smród dochodzący z zaimprovizowanej latryny. Głód świecący w oczy. Myśli. Myśli. Myśli. Dość!

Kolejny zwiad? Wyprawa do kapsuły? Idę z wami!

Obudził się? Nie? Cholerna gorączka... Znowu myśli w tym swoim dziwnym narzeczu. Zostawić mu trochę? Zje, jak się obudzi? Wepchnąć kawałek do ust? Może przez sen choć possie życiodajnych soków... Żadnej wiedzy, żadnej praktyki... Jak się postępuje z nieprzytomnymi ludźmi?

Zostawię kawałek. Niewielki, żeby się nie popsuł. Zresztą mięso jest teraz bardziej potrzebne mnie niż jemu. On...

Polana nie może być daleko.

Dam radę.

Wspaniale. Odeszli. Jakie to wygodne. Nikt nie chce niańczyć chorego - i masz spokój. Tylko po co został ten... no, jak mu tam... Jung? Dziwnie mu z oczu patrzy - jakoś tak... miękko? Cholera, może to...

- Niy bojay sie - rzecze uśmiechając się pod nosem. - Jo niy z takich.

Znowu zapomniałem, że tu słyszają moje myśli. No, dobrze. Kim jesteś?

- Chopem, jak i ty. Godajom mi Tony. A ło reszcie godolech na polanie.

Nie słuchałem.

- Tyż piyknie. Jo niy byda słuchoć twoich myśli, ty niy słuczej moich... I jakoś dojdymy na polana.

- Nie wybieram się na polanę. - Ile już usłyszał? Ile się domyślił?

- Dyc'jo cię niy wylecza. Tam...

- Nic mi nie jest. - Spójrz mi w oczy... i nie słuchaj tego, co teraz myślę.

- Dobra - Jung odchodzi kilka kroków i siada na kamieniu. - To może słówko wyjaśnienina?

Dlaczego miałbym ci się tłumaczyć, człowieku?

Znał już wtedy moje myśli? Wiedział, kim jestem - to znaczy, kim byłem - i jaki mam stosunek do wszystkich pozostałych, w tym i do niego samego? Pewnie coś usłyszał, czegoś się domyślał...

Może i należały mu się wyjaśnienia, nie byłem jednak skłonny tłumaczyć się komukolwiek z własnego postępowania. Jedynym dla mnie ratunkiem było znaleźć przedstawiciela jakiegokolwiek powiązanej z Federacją cywilizacji. Wszyty wresztki garnituru chip identyfikacyjny zapewniał właściwe potraktowanie i - w perspektywie - powrót na rodzinną planetę.

Byłem pewien, że rozbitkowie - koloniści - będą za wszelką cenę starali się ukryć swoje istnienie na owym prywatnym terenie któregoś z federacyjnych magnatów. Nie pozwolą mi na żaden kontakt, choćby mieli w tym celu mnie...

Aleś ty ciężki. A może to tylko ja już opadam z sił?

Co ja ci wtedy odpowiedziałem? Nie pamiętam... Tyle się zdarzyło...

- Ciii... Zdawało mi się... Tam, patrz! To chyba koniec lasu! Więcej światła... Polana, mówisz? Chodźmy tam, zobaczymy... O! Jeśli to polana, to, hmmm, duża. Jak dla mnie to królowa wszystkich polan. U nas na takie polany mówi się: step.

- Baaardzo śmieszne. Aże mnie skrynco ze śmijchu. Pierona, patrz tam! Ale cielsko... Ani chybi, dorosty mastodont... Abo inkszy bawół. Myślół-żech, co one żyją w stadach, a ten tu jakiś samotny... Co łon robi? Ah, pożywio się. Czy ta trowa bydzie dla nos jadalno? Trza rozejrzeć się za łobiadym... Co godosz? Kaj? A, ptoki. Cołkie stado... Cholera, to te drapieżne pierony! Kryj się! Miyndzy drzewa, może nos nie wypatrzyły... Co łone robią? Krażą nad tym pancernikiem? Ale naiwne... Pewnikiem czekają, aż sam padnie. Patrz, pikują! Ło, rany...

- Gdzie on się wbił? W kark? Rzeczywiście, gryząc trawę, odstłonił miękki kark. Czy on ich nie słyszał? Hałasują, hmmm, jak diabli. To chyba ich bojowy okrzyk. Skrzydła tak nie syczą... O, następny się wbił! Patrz, to bydlę chyba zdycha! Idziemy tam? Weźmiemy gałęzie i odstraszymy ptaki...

- Kaj?! Leż, jak ci życie miłe. Chcesz walczyć ze stadem drapieżników? Ło, mój Boże, kim jo się musza łopiekowoć... Tak, tak, wiym, jesteś już dużym chopcem i nie trza ci łopiyki... A, idź w cholera. Jo tu zaczekom na efekt. Co? Niy idziesz? Gratuluja, posłuchół-żeś głosu rozsądku. Co dalej, pytosz? Poczekomy grzecznie, aż się najedzą. Nie zjedzą wszyskiygo.

Jeśli nie pojawią się padlinożercy, dla nas łostanie aż nadto... Zresztą, padlinożerne zwierzęta nie są groźne. Te akurat można straszyć gałunzią. De-eF, musimy się skoncentrować!

- De-eF? Mam na imię Golean... Ale niech ci będzie, nie brzmi najgorzej. Skoncentrować się? Ah, chcesz telepatycznie przesłać innym sposób na łatwe uśmiercanie mastodonta... Niech ci będzie, spróbujmy. Ale nic więcej! Zresztą, ustalmy słowa tego przekazu... Ooo! Słyszysz?

"Kurde, diabli nadali mi tu tych palantów. Takie ładne stadko nakrapianych sarenek poszło. Mastodont? No, powiedzmy, że mastodont się nada. Ptaszki przegonimy kamieniami. I-raz, i-dwa, i... nie ma już latających piranii? Jaka szkoda. Bardzo przyjemnie się je ubijało. Paskudne poczwary... i niegłupie, zdaje się, skoro zawróciły po zabiciu dwóch. Mastodont..."

Wyraz twarzy Junga świadczy niewątpliwie, że także słyszy ów przekaz, zdając sobie sprawę, że do nas - i o nas - jest kierowany. Skąd przychodzi? Kamienie...

- Hej, wy tam! Na nagonkę się nadajecie raczej średnio, ale to nie powód, żebyście mieli umrzeć z głodu... Kiedy ostatnio coś jedliście? Miałem właśnie iść coś przekąsić. Moglibyśmy się razem zastanowić, jak przetransportować tę górę mięsa na polanę.

Samotna kępa krzaków, daleko od lasu. Kto z niej wychodzi?

- Pierona, nie strasz ludzi, partyzancie jeden. Pieczeń ci się marzy? Też bym zjadł, ale dyć ta trawa jest, na mój gust, sucho jak pieprz. Chcesz nas spalić przy okazji? Jak to słońce działa na ludzi...

- Polana? Dzięki, nie wybieram się tam. Zbiorowisko beznadziejnych przypadków. Nic mnie nie ciągnie do tego motłochu. Że dali mi lekarstwa i ubranie? Cóż... Powiedzmy, że mogę wspomóc cię intelektualnie. Nie jestem frachtowcem!

Kto to jest? Ja już go chyba widziałem...

Sanders. Wiernie słuchający Kaktusa, zakochany w Lhaei; przybyły nad klif, by odparowując wodę, uzyskać sól; myśliwy, zręcznie władający procą: tego dnia zjedliśmy świeże, pieczone mięso nakrapianej antylopy.

Nie potrafiliśmy jednak znaleźć wspólnego języka. Od gwałtowniejszej kłótni uratowało nas przybycie Greena i... Miana pozostałych szybko wyparowały z pamięci - któż by pamiętał pseudonimy społecznych wyrzutków? Przynieśli nowinę: Kaktus wzywa na sąd, bo ktoś tam zabił kogoś innego. A cóż mnie to obchodzi? Spodziewał się może, że nagle ci wszyscy terroryści, zabójcy i złodzieje zaczną być dla siebie miłymi i uprzejmymi sąsiadami?

Jung coś wybąkał o skromności, o tym, że niegodny... a Sanders bez niepotrzebnego zastanowienia zagonił ich do transportowania upolowanego pożywienia. Czy podążył za nimi - nie wiem, pożegnaliśmy ich bez emocji, ruszając w dalszą drogę: polana była na południu, a nas ciągnęły niezbadane tereny północy...

Jasno, coraz jaśniej... Koniec lasu?

Tak! Strefa powalonych drzew... Już niedaleko. Dam radę.

Z każdą godziną, klif malał w oczach, a podłoże stawało się coraz bardziej wilgotne. Wreszcie stanęliśmy na dość szerokiej, zielonej plaży ograniczonej z prawego boku nieregularnym szpalerem drzew. Woda rzeczywiście miała słony smak, choć można było w niej wyczuć także sporą zawartość innych minerałów. Co gorsza, coraz większe kałuże na naszym zielonym dywanie nie zdradzały źródeł wody słodkiej - musieliśmy po nią zagłębiać się coraz dalej w las.

Jedzenie także przystawało na naszej drodze coraz rzadziej... Pojawiło się za to więcej wszelakiej maści robactwa i czegoś, co na cywilizowanych planetach było określane mianem płazów czy gadów - na tyle nieruchawe i oślizgłe, by spod butów uciec z mlaśnięciem dopiero w ostatniej chwili.

Nie zauważyliśmy, kiedy las zaczął rzednieć. Dopiero, gdy stanęliśmy przy ostatnim drzewie, zrozumieliśmy, że dalej po prostu nie przejdziemy. Wilgotność podłoża zielonej plaży już od kilkunastu godzin zmuszała nas do marszu w cieniu drzew, narażając odsłonięte części ciała na ciągłe ataki owadów. Tych jakoś nie odstraszał nasz nietypowy wygląd i zapach - a może już przesiąkliśmy tutejszym błotem, przez który co i rusz trzeba się było przeprawiać?

Przed nami aż po horyzont rozpościerała się podmokła łąka, coraz szerszymi kałużami zacierając faktyczną granicę morza z lądem.

Za to po prawej...

W strefie powalonych drzew nie dokuczają owady, widać nie przyzwyczajone do wciąż obecnego tu smrodu. Nie myli zdradziecka flora. Nie straszy przerażająca często fauna.

Ale nie ma wody ani pożywienia.

Czy to już za tym pagórkiem?

Konkretny, widoczny z daleka cel, azymut, przedziwnie dodaje sił wymęczonemu organizmowi. Duży, regularny kształt na szczycie solidnego wzniesienia musiał być tym, czego szukałem. Sceptyczny w tym względzie Jung ostatecznie dał się namówić na odejście od znacznie cofającej się na południe, łukowato wygiętej linii drzew i marsz wprost na dobrze widoczne z daleka wzgórze.

Stopniowo oddalając się od linii brzegowej, stąpaliśmy po coraz suchszym gruncie. Nie zwracając większej uwagi na płytkie kałuże, kroczyliśmy pewnie z oczami utkwionymi w bryle.

Brak Junga odkryłem dopiero po chwili.

Zdążyłem dostrzec tylko nieznacznie wystającą ponad tafłę miniętej kałuży dłoń.

Nie, jeszcze nie jesteśmy na miejscu. Ale już dobrze widać Małpi Pysk. Wiem zatem, w którą stronę się kierować.

Już blisko!

Podejdziemy pod krater, przestaniemy błądzić...

Damy radę!

Suche wargi, suche podniebienie, suchy język...

Trudno było wyciągnąć nieprzytomnego Toniego ze śmiertelnej pułapki. Jeszcze trudniej uwierzyć w jej istnienie - niewielka kałuża niczym nie odróżniała się od pozostałych, poza tym, że nie było widać jej dna...

Skąd się wzięła - wypełniona wodą, częściowo zamulona - dwumetrowa dziura w ziemi? Nie mogła tu być od lat... Czyżby powstała przy katastrofie "Fenixa"? Czy na jej dnie tkwił jakiś oderwany od kadłuba element?

Nie było czasu na rozmyślanie. Szczęściem dla Junga wciąż pamiętałem sceny z holo, w którym ratowano topielca: ułożyć na boku, opróżnić jamę ustną, przeprowadzić masaż klatki piersiowej... czy coś w tym stylu. Gdy po dłuższej chwili Tonym wstrząsnęły gwałtowne konwulsje, na ziemię padłem ja.

Ze zmęczenia i ulgi.

Długo wpatrywałem się w pusty krater. Pewnie podświadomie oczekiwałem, że ktoś tu jednak będzie... a ciężar Junga, jego słaby puls i wysoka gorączka nie nastrajały optymistycznie.

Krater... Tunel... Szczątki... Woda, spływająca po ścianach anabiozerów, tryskająca nie wiadomo skąd! Woda we wraku! Radioaktywna? Być może... ale jakie to ma teraz znaczenie?

Ciągnąwszy Toniego, rozpocząłem schodzenie ze zbocza.

Nie dotarliśmy na szczyt górki.

Nie doszliśmy nawet do jej podnóża.

Zrozumieliśmy natomiast, jak bardzo myliliśmy się w ocenie odległości i zasobu sił.

Zmuszony do picia ohydnej wody z kałuż, do jedzenia surowego mięsa jaszczurkowatych, błotnych stworzeń, obserwowałem przygnębionego Junga. Coś mu ciążyło na duszy, ze wszystkich sił walczył ze sobą... aż skapitulował. Położywszy mi dłoń na ramieniu, ze łzami w oczach wyrzucił z siebie:

- Wybocz mi.

Zdębiałem. Spodziewałem się kolejnej fali podziękowań albo coś w tym stylu, a tu... Wzruszywszy ramionami, chciałem iść dalej, ale jego ręka trzymała mocno.

- Wybocz mi - powtórzył z płaczem. - Bo to jo cie przytargoł na Hitalia.

Światła awaryjne wciąż migwały, zasilane niespożytą energią. Niewiele się tutaj zmieniło. Tylko woda już nie tryskała z dziurawych łącz. Wyszła nawet podłoga kontenera. Beznadziejnie? Pomyśl, pomyśl!

Skąd była woda? Przewody wiodły pewnie ze zbiorników. Gdzie te zbiorniki? Idź za przewodami!

- Chowolech sie na ulicy - widać było, że Toniemu owe wyznania przychodzą z trudem. A może to wycieńczenie organizmu? - Robilech, krodech, żebrolech... Roz mie chycili i wciepli do kicia - na dwaiścia lotek. Sam zech miał wtedy tyż kaś tela...

Wsluchując się w jego wyznania nie mogłem uwierzyć, że mówi o tej samej Meganie, na której spędziłem ostatnie lata... Że z niej pochodzi. Nie znałem tego dialektu, ale nie wyczuwałem w nim gwary przestępczej. Dlaczego nigdy nie słyszałem tak mówiącego Meganina? Dlaczego ukrywali przede mną swój język?

- Wyszlech po dziesińciu. Miolech wszyskiego doś. Chciolech łod nowa... Spotkolech kumpla. "Ty mie pomożesz.. jo pomoga ciebie..." Pedzioł mi ło Hitalii. Łobiecoł dać forsa na lot, jak zabiera na statyk jakiygoś niytomnego gościa. Miolech go doć na pokład i zapomnieć. Toś boł Ty.

Przelknąłem nerwowo ślinę.

- *Kim jest ten twój znajomy? Skąd mnie wziął?*

- *Znom go jako Marcello. Niy wiym, jak się naprowda nazywo. Przytachoł cię aerotaxi. Niy wiym, skund.*

- *Sam?*

- *Niy... Chyba niy... Czekej no - w aero zostol jeszcze jedyn gościu. Migła mi ino jego broda - chyba żółto, spleciono w warkoczyk.*

Złocistożółta broda zapleciona w warkocz.

Cios w głowę.

Masz, pij. Niewiele tej wody, ale tylko tyle zmieściło się w wyrwanym przewodzie... Przyniosę więcej.

No, pij.

Hej!

Znowu straciłeś przytomność? Jak mam cię ocucić? Obie ręce zajęte... Może podeprę to nogą, teraz kolano... No, dłoń uwolniona. Obudź się! Tony!

Tony!

Hej, co ty...

Nie rób mi tego!

Nie!

Tony!

Przecież już tak blisko...

Nie, cholera, nieeeeeeeeeeee!!!

Złocistożółta broda zapleciona w warkocz.

Kuzyn Carlo.

Najbliższa rodzina w standardowych zapisach spadkowych Falcorum.

Czy warto żyć?

- Niy rób tego - Tony stał tuż za mną, wpatrując się, tak, jak i ja, w czarną taflę kolejnej kałuży bez dna, oświetlonej tylko przez gwiazdy. Nie cofnąłem się.

- Gdy zdradza cię twoja własna rodzina - zacząłem z trudem. - Co ci pozostaje?

- Dzisiaj - podjął po chwili milczenia. - Niy wszystko naraz umiemy. Siednij się, wejrzyj na gwiazdy... na siebie... w siebie. W końcu znajdziesz taką małą iskierkę.

- Jaka iskierka? O czym ty mówisz? Ja...

- Niy powiem ci, jako iskierka. Każdy ma inną. U każdego inaczej się znie. Musisz sam poszukać - zakaszlał gwałtownie, chwytając się za klatkę piersiową. Przez twarz przebiegł grymas bólu. - Wracam do szpitala - wycharczałem z trudem. - Pomożesz mi? Wyboczysz mi?

*Czarna tafla zapraszała. Zdradzony przez najbliższych,
porzucony na krańcu świata. Sam wśród odpadów
społeczeństwa. Miałem im pomagać?*

Co mi pozostało?

- Nie mam ci nic do wybaczenia.

Polana. Strumień biegnący przez środek. Gwar, smród i natłok myśli, w który gwałtownie wdziera się coś nowego - jak alarm...

Stoję na skraju lasu. Podarte szczątki garnituru odsłaniają liczne zadrapania i sińce. Ręce zwisają bezładnie, w oczach nie pali się już blask arystokracji. Ale to wciąż ja.

Golean deFalco, junior, trzeci tego imienia.

Taki sam rozbitek, jak wy. Ani lepszy, ani gorszy.

Tony Jung leży martwy w kraterze, nie miałem sił go pochować, nie miałem czym podpalić...

Widzę wasze twarze, a na nich grymas obrzydzenia. Tak, wiecie, co o was myślę... co myślałem. Teraz jednak wiem, że i wśród was są tacy jak Tony...

Czuję niechęć w waszych myślach.

Nie, nie mam nic na swoją obronę.

Mogę tylko... Tylko to.

- Wybaczcie mi.

